Rok V. **Kraków-Podgórze, Sobota 28 Września 1907** **Nr. 258**

NOWINY

Dziennik niezawisły demokratyczny illustrowany.

4 **Cena Numeru wszędzie** Centy (8 halerzy).

PRENUMERATA

miesięczna wszędzie zarówno w Krakowie jak na prowincyi 2 K. już z dostawą do domu, względnie z przesyłką pocztową. — **Prenumerata za granicą 2 marki, 3 franki, 1 rs. 20 kop.**

POJEDYNCZE EGZEMPLARZE NABYWAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH AGENCYACH PISM i NA WSZYSTKICH DWORCACH KOLEJOWYCH.

OGŁOSZENIA

za wiersz petitu 16 hal., za każdy następny raz 12 hal., drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu (minimum 50 hal.). Nadesłane za wiersz petitowy 50 hal., spody na każdej stronie po 3 Kor. — Załączniki 20 Kor. za tysiąc.

Inseraty prowadzi w swoim zarządzie p. M. Hupczye.

Administracya „NOWIN": Rynek gł. L. 8, otwarta od 9—1 w południe i od 3—5 popołudniu.

Na Lwów Skład i Ekspedycya: Agencya Sokołowskiego, Pasaż Hausmana L. 2.

Redakcya i Administracya „Nowin": Kraków, Rynek gł. L. 8, Tel. 627. Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12 w południe. — **Ekspedycya „Nowin" w drukarni Rynek gł. L. 8.**

REDAKTOR NACZELNY: **LUDWIK SZCZEPAŃSKI.**

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje Redakcya (Tel. 627) od godziny 9 rano do godziny 7 wieczorem w biurze Rynek gł. L. 8, I. p. Rękopisów nie zwraca się.

„NOWINY" wychodzą codziennie wieczorem o godzinie 5-tej. — Cena numeru 4 centy (8 halerzy).



Miejscowi abonenci mogą płacić albo w administracyi, albo do rąk inkasenta, nie zaś roznosicielom (kolporterom).

Zamiejscowi abonenci zechcą przesłać prenumeratę pocztowym przekazem.

Celem uniknięcia przerwy w otrzymywaniu dziennika należy prenumeratę nadesłać jak najrychlej.

Prenumerata „Nowin" wynosi 2 korony miesięcznie

już z dostawą do domu i przesyłką poczt.

Uwaga: Biura redakcyi i administracyi „Nowin" znajdują się:

przy Rynku głównym L. 8, 1. piętro

(drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, telefon Nr. 627).

Co dalej?

Mała nadzieja kompromisu. — Ewentualna sesya sejmowa w grudniu. — Skończy się połataniem kuryi? — Projekty reformy. — Wiec miast. — Manifestacya socyalistów.

Sejm krajowy obradować może podobno tylko do 8-go października, bo dnia 10-go października ma być zwołany parlament, jednakże sprawa reformy wyborczej jeszcze nie postąpiła naprzód. Rokowania między prawicą a lewicą nie przyniosły pomyślnego rezultatu; lewica stanowczo odrzuca **projekt Bobrzyńskiego.** — Wogóle, jak donoszą ze Lwowa, **szanse kompromisu maleją coraz** bardziej. A przecież bez kompromisu nie podobna się obejść w sejmowej sytuacyi. Są pesymiści, którzy już nawet nie wierzą w możność załatwienia reformy w czasie obecnej sesyi sejmowej, ale pocieszają się nadzieją, że przecież będzie można zwołać sejm na krótką sesyę w ciągu grudnia. — Cokolwiekbądź nastąpi, stwierdzić trzeba, że zapatrywania na reformę różnią się tak bardzo zależnie od obozu, do którego przynależy dany poseł, że o porozumienie jest trudno. Wobec tego korespondent „Nowej Reformy" wyraża obawę, której daliśmy wyraz już kilka dni temu i pisze:

„Kto wie, czy nie skończy się na „połataniu" obecnych kuryj, co jednak nie zadowolniłoby opinii publicznej w kraju".

Pojawiło się kilka nowych projektów reformy: projekt K r a m a r c z y k a, o którem wczoraj w sprawozdaniu sejmowem była mowa; kompromisowy projekt R u t o w s k i e g o; wreszcie projekt dra S t a r z e ń s k i e g o, który opiera się w zasadzie na wnioskach Wydziału krajowego, to jest zachowuje kurye i zaprowadza nową V. kuryę, a jedynie uzupełniony został postanowieniami, odnoszącemi się do ustroju prawa wyborczego w kuryi gmin wiejskich, tudzież co do t a j n o ś c i głosowania.

„Kuryer Lwowski" pisze:

„Klucz całej sytuacyi jest przedewszystkiem w ręce konserwatywnej większości, która powinna poczynić bez porównania większe ofiary z egoizmu kastowego, niż z dotychczasowych jej propozycyi one są widoczne i ustępstw tych nie kombinować z tworzeniem nowych przywilejów, lecz zużytkować je dla obdzielenia mandatami warstw ludności, dotąd praw wyborczych pozbawionych".

* * *

Przewodniczący stałej komisyi 30 miast p. Doliński, burmistrz miasta Przemyśla, zwołał na dzień 29 b. m. do Lwowa **wiec trzydziestu miast** w sprawie reformy wyborczej, wzywając miasta do obrony swych praw.

Socyaliści urządzają w niedzielę 29 we Lwowie manifestacyę, wysyłając z całego kraju delegatów do marszałka krajowego, którzy przedłożą mu żądanie **czteroprzymiotnikowego** prawa głosowania.

Z LONDYNU.

(Tunel pod kanałem La Manche. — Dwie stolnie. — Ubezpieczenie przeciw obcej inwazyi. — Sprawa kradzieży klejnotów koronnych. — Wieści z Quebec. — Tajemniczy rekrut i jego zniknięcie).

Chociaż angielskie koła rządowe i parlamentarne oświadczyły się przeciw projektowi połączenia Anglii z Francyą za pomocą tunelu podziemnego, to jednak przedsiębiorstwo Channel-Company nie daje się niczem odstraszyć od swych zabiegów. Niestrudzenie pracuje to towarzystwo nad zrealizowaniem swego projektu. Niedawno rozesłało ono do wszystkich czasopism naukowych w Anglii broszurę, zawierającą dokładny opis projektu, oraz korzyści, jakie on mógłby przynieść krajowi. Autor omawia sprawę całą rzeczowo i twierdzi, że budowa tunelu pod kanałem La Manche nie będzie przedstawiała większych trudności technicznych, niż np. budowa tunelu Simplońskiego, lub wielkich tam w Assuan.

Z broszury wspomnianej dowiadujemy się, że pokłady geologiczne, które tunel miałby przebić, składają się prawie wyłącznie z wapienia; prace zatem podziemne nie napotykałyby na nader wielkie trudności. Tunel ma się składać z dwóch, równolegle bieżących stolni, łączących się z sobą za pomocą licznych poprzecznych stolni. Miałby być zbudowany w głębokości 30 do 55 metrów pod dnem morskiem; każda ze stolni mierzyłaby po 6 m. szerokości. Projektodawcy szczególniejszą uwagę zwrócili na sprawę wietrzenia. Chodzi o to, aby w tunelu mogło cyrkulować na minutę 15.000 metrów sześciennych świeżego powietrza z chyżością 2 metrów na minutę. Ruch pociągów odbywać się ma za pomocą elektryczności. Channel-Company proponuje zbudowanie dwóch zupełnie odrębnych stacyj fabrycznych, wytwarzających siłę elektryczną. Stacya na brzegu angielskim udzielałaby siły ruchu pociągom przybywającym z Francyi i na odwrót stacya francuska zasilałaby pociągi jadące z Anglii. Takie urządzenie umożliwia regularną komunikacyę między Anglią a kontynentem tylko za obopólnem zezwoleniem i pomocą każdego z państw. W ten sposób o obcej inwazyi zbrojnej niemal i mowy być nie może. Anglicy obawiają się tylko zbyt wielkiego napływu Francuzów, zalania kraju francuskiemi modami, a co więcej obyczajami.

Sprawców kradzieży k l e j n o t ó w k o r o n n y c h, zabranych ze skarbca dublińskiego, jeszcze nie odszukano, choć krążą o nich najrozmaitsze wieści. Opowiem o jednej, pochodzącej z Quebec. Z końcem lipca człowiek około lat 30, przyzwoicie ubrany, zjawił się u bramy cytadeli w Quebec i prosił żołnierza, stojącego na straży, aby go zaprowadził do oficera, który przyjmował rekrutów; chciał bowiem zaciągnąć się do artyleryi fortecznej.

Nieznajomy nie był całkowicie trzeźwy; widocznem było, że niedawno musiał się zabawiać zbyt ochoczo. Zaprowadzono go na strażnicę, gdzie niebawem zaprzyjaźnił się z żołnierzami i podoficerami. Zaprosili go do kantyny z zamiarem uraczenia przybysza. W czasie wesołej pogawędki okazał swym nowym przyjaciołom swój passport. Dokument był widocznie podrobiony, znać było ślady wydrapywania, poprawki; niektóre zwroty, dotyczące prowadzenia się, lat służby i t. d. nie były wystylizowane według przyjętej formy. Paszport opiewał na nazwisko niejakiego Johna Atwell, ale i w nagłówku były ślady wycierania; paszport musiał być czyjąś inną własnością.

Rzekomy Atwell zamawiał co kilka chwil napoje, a później okazywał towarzyszom mnóstwo monet złotych i banknotów, co wprawiło w zdumienie ubogich żołnierzy. Jeden zapytał Johna, dlaczego, mając tyle pieniędzy, uczuwa potrzebę wstąpienia do wojska. Atwell był tem pytaniem nieco skonfudowany i milczał. Lecz później pod wpływem „whisky" rozwiązał mu się język.

Atwell przyznał się, że brał udział w kradzieży odznak św. Patryka. Dalej powiedział, że kradzież przyszła do skutku głównie dzięki pomocy pewnej, bardzo znanej damy irlandzkiej, należącej do wyższych sfer towarzyskich. Kradzież została popełnioną na wiele miesięcy przedtem, zanim się o niej dowiedziano. Długie opowiadanie zakończył tem, że klejnoty będą musiały w końcu powrócić na swoje miejsce.

Atwella aresztowano i oddano władzom sądowym. Policya w Quebec uwiadomiła dyrekcyę generalną policyi angielskiej w Londynie. Jakież jednak było zdziwienie w Quebec na wiadomość, że ze stolicy nadesłano polecenie natychmiastowego wypuszczenia Atwella na wolność, o klejnotach i paszporcie nie było i wzmianki. Wówczas nieznajomy opuścił miasto i zniknął bez śladu w sposób tajemniczy.

Z pamiętników szczęśliwego małżonka.

Otworzyłem wielki skład towarów. W sądzie handlowym urzędnik pogroził mi na nosie i wypalił reprymandę:

— Zapamiętaj sobie, aniołku, że kupiec uczciwy prowadzi porządną buchalteryę. Tylko podstępni bankruci nie używają ksiąg oparafowanych i osznurowanych, nieprzymierzając jak worek z bagażem.

Jako człowiek z gruntu uczciwy, postanowiłem olśnić porządnem prowadzeniem ksiąg wszystkich moich konkurentów i z tego powodu na urząd buchalterki powołałem pannę Zofię, jasną blondynkę o czystym, klasycznym profilu, wzorową córkę i przykładną siostrę swego rodzeństwa.

Młoda osoba natychmiast zawinęła rękawy u stanika *bleu gendarme* i przystępując do pracy, zawołała głosikiem kanarka z gór Hartzu:

— Już ja to panu ślicznie urządzę! Zobaczy pan, jak to będzie ładnie!

Od tej pory rubryka moich wydatków biurowych znacznie została rozszerzona. Woźny kantorowy wciąż znosił a znosił takie przybory pomocnicze do buchalteryi, jak: pieczątki kolorowe, różnobarwne wstążeczki, kalkomanję, oraz obrazki z widokiem pastuszka, wygrywającego na fujarce. Po upływie roku, gdy nadeszła pora układania bilansu, moje „strazze", „memo-

Nowy

Żyd wieczny tułacz

222 *według Eugeniusza Sue*

opracował Walery T o m i c k i.

Ciąg dalszy.

— Musiałem wystawić ojcu jak niebezpieczne jego przedsięwzięcie; lecz gdy obydwa razem działać będziemy roztropnie, możemy dopiąć swego, prawie na nic się nie narażając, nieprawdaż, ojcze?... — rzekł kowal, mrugnąwszy na żołnierza. — Powtarzam ci jeszcze raz, uspokój się, droga matko... ręczę ci za wszystko. Uwolnimy córki marszałka Simon i pannę de Cardoville... Garbusko, podajno mi kleszcze i młotek z dolnej szuflady.

Szwaczka, łzy otarłszy, spełniła polecenie kowala, gdy tymczasem tenże mieszkiem podniecał ogień, w którym się grzały skrzypce.

— Oto są twe narzędzia, Agrykolo! — rzekła Garbuska, mocno zmienionym głosem, podając kowalowi drżącą ręką kleszcze i młotek; Agrykola wyjął z ognia do czerwoności rozgrzane szczypce i począł je silnie młotem urabiać na piecyku, który mu służył za kowadło.

Dagobert, zamyślony, zachowywał milczenie; po niejakim jednak czasie ujął Franciszkę za rękę i rzekł:

— Znasz swego syna: przeszkodzić mu teraz, aby udał się ze mną niepodobna... Ale, bądź spokojna... kochana żono... my dokażemy swego... mam nadzieję... jestem prawie pewny... Jeżeliby zaś nie udało się nam, gdybyśmy zostali przytrzymani... zabijać się byłoby tchórzostwem... precz z samobójstwem; ojciec i syn pójdą sobie spokojnie do więzienia, z pogodnem czołem, śmiało, jak uczciwi ludzie, którzy spełnili swój obowiązek... co do joty. Gdy nadejdzie dzień sądu.. wyznamy wszystko.... uczciwie.... otwarcie.... powiemy, że przywiedzeni do ostateczności... nie znalazłszy nigdzie pomocy, przymuszeni byliśmy chwycić się ostatecznego środka... Dalej, mój chłopcze, kuj żwawo! — dodał Dagobert, zwracając się do syna — kuj... kuj... nie lękaj się, sędziowie są uczciwymi ludźmi i uwolnią uczciwych ludzi.

— Tak, tak, mój ojcze, słusznie mówisz; uspokój się, droga matko: sędziowie ocenią różnicę, zachodzącą między złoczyńcami, wdzierającymi się po murach dla kradzieży, a starym żołnierzem i jego synem, którzy z narażeniem swej wolności i swego życia na hańbę, chcieli oswobodzić biedne ofiary.

— A jeżeli uwagi na to nie zwrócą, — dodał Dagobert — mniejsza o to! ani twój syn, ani mąż nie będą zhańbieni w oczach uczciwych ludzi... Jeżeli oddadzą nas na galery... jeżeli tyle okażemy mocy, iż zachowamy sobie życie... to dobrze! stary i młody zbrodzień z chlubą dźwigać będą kajdany... Nie my będziemy zhańbieni, ale podły renegat... Dalej, dalej, kuj żelazo, nie lękaj się niczego, mój synu! Są rzeczy, których i galery zhańbić nie mogą: czyste sumienie i honor.

— Teraz parę słów do ciebie, moja Garbusko. Godzina zbliża się i przynagla nas. Będąc w ogrodzie, czy uważałaś, jak wysokie są piętra klasztoru?

— Nie bardzo wysokie, panie Dagobercie; szczególnie od strony domu obłąkanych, w którym zamkniętą jest panna de Cardoville.

— Jakimże sposobem zdołałaś zbliżyć się i mówić z tą panną?

— Była za drewnianym parkanem, przedzielającym te ogrody.

— Wybornie... — rzekł Agrykola, nie przestając kuć swego żelaza — będziemy mogli łatwo dostać się z jednego ogrodu do drugiego; może też łatwiej i bezpieczniej będzie dostać się przez dom obłąkanych... Ale szkoda, że nie wiesz, gdzie jest pokój panny de Cardoville.

— Zaraz... — odrzekła Garbuska, przypominając sobie — ona mieszka w pawilonie kwadratowym, a nad jej oknem, w którem najpierw ją zobaczyłam, jest daszek, pomalowany w białe i niebieskie pasy.

— Bardzo dobrze... zapamiętam to.

— A nie wiesz też mniej więcej, gdzie są celki mych biednych dzieci? — zapytał Dagobert.

Po chwili namysłu, Garbuska odrzekła:

— Celki te znajdują się naprzeciw okna panny de Cardoville, gdyż już od dwóch dni dawała im znaki, a teraz przypominam sobie, iż wspomniała, że te celki są jedna nad drugą, na dole i na piętrze. C. d. n.

ryały“ i „księga główna“ były podobne do kajetów, za które pilne uczennice od swoich *madames* otrzymują „piątki“ za staranność i uwagę.

Spostrzegłszy to kasyer, oszalały z rozpaczy, zwołał niezwłocznie naradę ogółu pracowników, samowolnie zajął fotel prezydującego, z niesłychaną siłą uderzył w dzwonek i przemówił:

— Teraz już nie ulega wątpliwości, że pryncypał nasz uznany za fałszerza i szantażystę zbutwieje w lochach więziennych. Bo nie było jeszcze kupca, któryby miał czelność prowadzenia ksiąg w podobny sposób. Będąc na jego miejscu odebrałbym sobie życie, lub też wyjechałbym do Ameryki.

Poprosiłem w moim własnym domu o głos:

— Za pozwoleniem! Sytuacya jest rzeczywiście nie pokojąca, ale udało mi się wynaleźć drogę wybrnięcia z nieszczęścia. Ożenię się z panną Zofią i przyjmę na jej miejsce brzydkiego, porosłego jak niedźwiedź buchaltera.

W trzy tygodnie po tym fakcie zostałem szczęśliwym małżonkiem. W rok po tem masa moich wierzycieli przywróciła mi cześć kupiecką.

Dzisiaj jestem ojcem pięciorga dziatwy jakby wykradzionych z obrazu Murilla. Kupiłem Zosi kolię brylantową za 2.500 kor. i rozszerzyłem mój sklep o trzy okna.

Brzydki buchalter z wdzięczności za posadę, przy każdem spotkaniu z Zosią całuje ją w rękę i tytułuje „szanowną panią dobrodziejką“.

Pani Ludwika Toselli.

Urzędowo już stwierdzono, że przedwczoraj odbył się ślub księżniczki Ludwiki toskańskiej, później żony dzisiejszego króla saskiego, później hrabiny Montignoso — z pianistą włoskim Tosellim. Niespokojnego temperamentu księżniczka znowu każe całemu światu wdzierać się w swe osobiste stosunki i rozpoczyna nowy okres w burzliwem życiu...

W wydanej niedawno rozgłośnej książce Idy Kremer p. t.: *Im Kampfe um ein Königskind, Anna Monika Pia, Herzogin zu Sachsen. Meine Erlebnisse als Erzieherin im Hause der Gräfin Montignoso im Winter 1906* — znajdujemy kilka bardzo ciekawych szczegółów o stosunku hrabiny do obecnego jej małżonka.

I tak pod datą 8 grudnia r. z. pisze p. Kremer: Na dziś po południu zamówiła hrabina pianistę Tosellego. Muzyk ma przybyć o pół do 3-ej i grać w ciągu godziny na fortepianie. Księżna jest podniecona nadzwyczajnie i zaciera, jak zwykle w takich chwilach, ręce w oczekiwaniu rozkoszy artystycznych. Godzina oznaczona nadchodzi, a Tosellego niema jeszcze. Księżna, zajęta ze mną pisaniem pocztówek, dostaje gorączki, mówi o bezczelności artysty, woła, co sobie taki psiak(!) myśli!

Po chwili dzwoni na Giocondę i rozkazuje, gdyby Toselli zjawił się później, jak o 10 minut po pół do 3-ciej, aby mu powiedziała:

— Jej Wysokość (tak nazywa księżnę służba włoska) wyszła z domu!

Pianista jednak dotychczas nic nie zawinił, niema bowiem jeszcze pół do trzeciej. Wkrótce zjawia się znów Gioconda i anonsuje Tosellego. Księżna wybiega do pokoju jadalnego i prosi mnie, abym jej towarzyszyła.

Toselli znajduje się już w jadalni, gdzie stoi fortepian. Przedstawiona artyście, siadam pod ścianą na kanapie, gdy tymczasem księżna zajmuje miejsce obok muzyka przy fortepianie.

Toselli dotyka, co prawda, czasami klawiszów, ale zapowiedziana „godzina gry“ polega w rzeczywistości na tem, że księżna prowadzi z pianistą pogawędkę ożywioną w języku włoskim od godziny pół do 3-ciej do 7-ej wieczorem! O mnie zapomnieli zupełnie.

Gdy godzina piąta bije na zegarze, mam już dosyć tej roli pionka i wychodzę do pokoju dziecięcego, aby wypić razem z Moniką herbatę. — O godzinie pół do 7-ej posyłam lampę do jadalni. O siódmej nareszcie żegna się Toselli, a księżna opowiada mi, rozpromieniona radością, jak przyjemnie z nim czas spędziła. Mówił jej podobno bardzo ciekawe rzeczy o fałszywych przyjaciołach, potrzebie męstwa i t. p.

Następnego dnia pisze p. Kremer w swym pamiętniku:

Rano zauważyła księżna przy kawie:

— Ach, dzień dzisiejszy jest dla mnie dniem wspomnień smutnych. Bo proszę tylko pomyśleć: Dziś obchodzi mój Erni (syn Ernest) urodziny. Kończy 10 rok życia. Nadto właśnie 4 lata temu opuściłam Drezno.

Po chwili słyszę, jak księżna wesoło gwiżdże w pokoju sąsiednim. I przez resztę dnia nie zauważyłam już najmniejszego śladu smutku.

Po południu miała księżna udać się na przedstawienie „Przekleństwa Fausta“ Berlioza w teatrze Verdiego i zażądała, abym jej towarzyszyła. Przed teatrem zaś oświadczyła chęć rewizytowania Tosellego, a raczej odwiedzenia rodziców jego, z któremi mieszka.

Zatrzymujemy się przed wskazanym domem. Toselli czeka już na dole, otwiera drzwiczki samochodu, całuje rękę księżnie i pomaga jej wysiąść.

Przy wysiadaniu, księżna daje rozkaz mechanikowi, aby pojechał ze mną do panny Zimmern, zadzwonił tam i zażądał obstalowanych dwóch biletów teatralnych, a następnie zawiózł mnie do Baptisterium, abym mogła obejrzeć przed wyjazdem z Florencyi ten budynek, stanowiący miniaturowe powtórzenie katedry. Mniej więcej za pół godziny mamy być z powrotem po księżnę.

W czasie oznaczonym samochód staje przed domem Tosellich, czekamy jednak całą niemal jeszcze godzinę na dworze, zanim ukazuje się księżna w towarzystwie Tosellego.

Muzyk całuje ją w rękę, a gdy samochód rusza z miejsca, księżna żegna młodzieńca wykrzyknikiem:

— *A domani! a domani!* (Do jutra!)

Pani Kremer opisuje następnie przedstawienie w teatrze Verdiego, ale ani w tym opisie, ani też w dalszym ciągu pamiętnika nie wspomina już o Tosellim.

Powyższe jednak urywki stanowią dowód wystarczający, że młody muzyk włoski opanował oddawna serce byłej następczyni tronu saskiego.

* * *

Interesujące wiadomości, dotyczące zamążpójścia hr. Montignoso, zamieszcza „Wiener Allgemeine Ztg.“ w interwiewie z pewną osobistością, zbliżoną do dworu saskiego i posiadającą z tego powodu najautentyczniejsze informacye. Zdaniem wspomnianej osobistości, małżeństwo hr. Montignoso nie było bynajmniej niespodziewane. Na dworze toskańskim, a zwłaszcza na dworze saskim wiedziano już od dłuższego czasu, że hrabina ma zamiar poślubić Tosellego. W tych kołach dworskich znany jest dobrze temperament hrabiny i jej sentymentalny pociąg do młodych ludzi. To też oba dwory były przygotowane na niemiłe niespodzianki, żywiły jednak nadzieje, że nie dojdzie do skandalu, zwłaszcza, że ustawicznie wpływano na hrabinę w tym kierunku. Przypuszczano, że i tym razem sentyment hrabiny zadowolni się niewinnym flirtem i dlatego usiłowano zapobiedz rozgłoszeniu się tej sprawy.

Zresztą już dawniej udało się przeszkodzić hrabinie w zawarciu nowego małżeństwa. Mniej więcej przed półtora rokiem otrzymały koła dworskie wiadomość, że hrabina bierze lekcye malarstwa od pewnego młodego malarza włoskiego i że zakochała się w nim. Wówczas wysłano z Salzburga do Florencyi pewną zaufaną osobę, sympatycznie się odnoszącą do hrabiny, której udało się skłonić hrabinę, że oddaliła nauczyciela. Równocześnie też udzielono hrabinie bardzo surowego ostrzeżenia, że jakikolwiek publiczny skandal będzie mieć dla niej bardzo złe skutki. Niestety napomnienia te nie pomogły.

Na dworze saskim małżeństwo hrabiny jest bardzo żywo omawiane. Koła dworskie zastanawiają się przedewszystkiem nad przyszłem ukształtowaniem się losów hr. Montignoso. Powtarza się walka, jaka rozegrała się z okazyi afery Girona.

Co do księżniczki Pii Moniki, można twierdzić stanowczo, że dwór saski nie zna wcale miejsca jej pobytu.

„Daily Mail“ ogłasza rozmowę swego współpracownika z państwem Toselli, natychmiast po ślubie. Pani Toselli opowiadała, że musieli zwalczyć wiele trudności, zanim udało im się pobrać. Księżniczka Monika jest u ludzi pewnych i wiernych, ukryta przed saskim dworem. W tem miejscu Toselli wtrącił:

— Pod żadnym warunkiem nie damy sobie tego dziecka wydrzeć.

Dalej opowiadała pani Toselli, że od lat przechodzi istne katusze. Dwór saski mści się w wyrafinowany sposób. Mimo umowy pozwolono jej tylko raz jeden widzieć się z synami w obecności urzędnika. Kiedy prosiła o widzenie się z córkami, odpowiedziano jej, że lekarz na to nie pozwala, bo to mogłoby córkom zaszkodzić. Rozpowszechniono bajkę, że na wychowanie księżniczki Moniki pobiera 25.000 marek rocznie. W rzeczywistości dostawała 250 marek miesięcznie, które zredukowano na 200 marek, aby ją ukarać za to, że nie chciała przyjąć wysłanej z dworu wychowawczyni. Jeśli król żąda wydania księżniczki Moniki, to nie czyni tego z miłości; jemu wszystko jedno, czy ona żyje, czy umarła, idzie mu tylko o dręczenie matki.

Z Drezna z kół dworskich donoszą, że obecnie postawione będzie energiczne żądanie wydania księżniczki. Co do apanaży nic jeszcze nie postanowiono. Urzędowe dzienniki tutejsze apelują do ludności, żeby przestała zajmować się sprawą, która jest dla króla tak bardzo przykrą.

Toselli zaangażował się już na koncerty, w których towarzyszyć mu będzie zapewne pani Toselli. Pani Toselli zawarła układ z nakładcą o napisanie swych pamiętników.

Co słychać w mieście?

Kraków, dnia 28 września 1907

Z teatru miejskiego. Kasa zamawiań teatru zawiadamia, że bilety na premierę sobotnią są na wyczerpaniu. Próby ze sztuki dobiegają końca. — Drugie przedstawienie „Szkoły“ w niedzielę dnia 29-go bm. W tygodniu przyszłym przedstawienie popularne naznaczono na poniedziałek dnia 30-go bm.; dane będą „Upiory“ Ibsena. — Natomiast we środę ukaże się po raz czwarty „Cenzor moralności“ po cenach zwykłych.

Biblioteka Muzeum techniczno-przemysłowego, począwszy od dnia 1-go października 1907 r. będzie otwartą przed południem od godziny 9-tej do 12-tej, po południu od 6-tej do 9-tej wieczór.

Stan zdrowia hr. Adamowej Potockiej w Krzeszowicach z dniem wczorajszem znacznie się pogorszył. Przy łożu sędziwej hrabiny czuwa lekarz dr. Buzdygan i syn jej, namiestnik hr. Andrzej.

Krzyki i protesty socyalistów przeciw rzekomym „nadużyciom wyborczym“ w Krakowie — skłoniły namiestnictwo do gruntownego zbadania tej sprawy. Do Krakowa przybył starosta p. W. Dobrowolski i w gmachu starostwa przesłuchiwał strony w sprawie wniesionych w parlamencie zarzutów przeciw czystości przeprowadzonych w Krakowie ostatnich wyborów do Rady państwa. Przesłuchani zostali sekretarz prezydyalny, dr Rudolf Sikorski, członkowie komisyj wyborczych, oraz wnoszący zarzuty, pp. Daszyński, dr Bobrowski i inni członkowie międzynarodówki.

Byłoby bardzo pożądane, aby Namiestnictwo ogłosiło cały wynik badania, aby krzyki socyalistów znalazły nareszcie gruntowną oficyalną odprawę. A może „Naprzód“ ogłosi zeznania pp. Daszyńskiego? Chcielibyśmy przecie raz dowiedzieć się, jakie p o z y t y w n e zarzuty podnoszą przywódcy czerwieńców.

Obowiązek chodzenia w mundurach. Sfery urzędnicze są mocno zaniepokojone wieścią, że rada ministrów powzięła decyzyę, aby urzędnicy zawsze, nietylko na galę, nosili mundur. Byłoby to n we obciążenie urzędników — a przyczyniłoby się tylko do większego odgraniczenia urzędników od reszty społeczeństwa.

Ironiczna proza o Krakowie. Korespondent krakowski „Kuryera Warsz.“ w ironiczny sposób omawia drożyznę mieszkań w Krakowie, oraz sposób traktowania teatru krakowskiego przez sprawozdawcę sejmowego, eksc. Pinińskiego:

„O mieszkaniach już pisałem, więc dodam tylko, że projekt odesłania wozu Drzymały do Muzeum Narodowego w Krakowie musi być zaniechany. Wóz Drzymały nie byłby tu bezpieczny. Stałby się najcenniejszym, najbardziej ludzką pożądliwość budzącym, najbardziej na kradzież narażonym objektem w całem Muzeum Narodowem. Kto wie, czy pewnego dnia nie zakradłby się ktoś, np. jaki wyższy urzędnik państwowy lub „świetnie sytuowany“ literat, aby wywieźć wóz Drzymały na Błonia i zamieszkać w nim z rodziną? Niech więc lepiej wóz Drzymały spocznie gdzieindziej, aż spadną czynsze krakowskie. W ten sposób Kraków uniknie wstydu i to podwójnego, bo kradzież byłaby wstydem równie wielkim, jak fakt zamieszkania na wozie w obrębie „Wielkiego“ Krakowa. A tak, jesteśmy przynajmniej zapewnieni, że tego drugiego wstydu nie będzie. Nikt z lokatorów krakowskich nie wytoczy wozu na Błonia, bo nikt nie ma... pieniędzy, aby wóz kupić.

Życie w Krakowie jest kosztowne, ale za to kulturalne — jak zapewniał mnie uroczyście pewien zagorzały patryota krakowski. Istotnie, zdawałoby się, że... Ale we Lwowie myślą inaczej. Ot, niedawno ogłosiły dzienniki krakowskie sprawozdanie sejmowe o teatrach galicyjskich. Lwowski zajął całe stronice, krakowski — jeśli mamy wierzyć dziennikom — został uznany za „rozwijający się normalnie, równie jak teatr ruski“, trupa wędrowna, jeżdżąca po prowincyi.

Proszę, proszę... A myśmy tu łudzili się, że mamy bodaj że najlepszy teatr w Polsce, teatr o dobrym repertuarze, dobrze reżyserowany, przodujący innym w artystycznem traktowaniu dekoracyi i kostyumu, teatr wogóle — ciekawy. A tu okazuje się, że mamy coś nakształt teatru... ruskiego. Czy wobec tego warto płacić tak drogo za funt mięsa? Czy warto narażać się na spędzanie zimy w wozie Drzymały? Musimy się nad tem poważnie zastanowić. Bo żyć drogo i... niekulturalnie, to już doprawdy za wiele! — powiedziałby nawet mój patryota krakowski“.

Ze stacyi ratunkowej. W piątek popołudniu zgłosił się na stacyę ratunkową buchalter restauracyi ho-

LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

W naszej letniej stolicy.

41 (Ciąg dalszy).

— Tylko okazało się, że zupełnie brak jej zmysłu do rachunków i gospodarskości. Jakaż by to była z niej żona, proszę pana? — To jednak jeszcze by mnie tak zupełnie może nie zraziło i możeby nawet przyszło do zgody między nami, ale gdy wmieszała się pani Jutrzenkowska do sprawy, wtedy się zrobiła taka awantura, że machnąłem ręką na wszystko.

— Awantura?

— Niby tak. Prosiłem panią Jutrzenkowską o pośrednictwo między mną, a panną Dzidzi — i pani J. rzeczywiście bardzo się gorąco zajęła sprawą i wychwalała mnie bardzo. Ale panna Dzidzi oświadczyła, że kocha jakiegoś pana Karola w Warszawie, że ten pan Karol jest nieszczęśliwy i że ona jest także nieszczęśliwa — no i koniec końców, obie panie się rozbeczały — i pani Jutrzenkowska przyznała pannie Dzidzi racyę, na co znowu pani Małkowska zrobiła awanturę. Wreszcie wszystkie trzy baby razem w bek! Tak, panie, tak! — I cóż panu jeszcze powiem? — Pani Jutrzenkowska wczoraj przez trzy godziny opowiadała mi o przebiegu całej rozmowy — i oświadczyła w końcu, że ja powinienem ustąpić i nie unieszczęśliwiać tak miłej panny, bo ona by mi tego nigdy nie wybaczyła, gdybym jeszcze narzucał się pannie Dzidzi! Ja, proszę pana kochanego, trzem babom nie dam rady!

— Więc ta panna Dzidzi ma jakiegoś pana Karola? Tak, tak, te Warszawianki wszystkie takie! rzekł z ironią poeta. Co do mnie, wyznam szczerze, że winszuję panu bardzo, żeś się pan wyplątał z tej kabały. Nie wiem doprawdy, co się mogło panu w tej Dzidzi podobać. Ale żeby już o czem innem pomówić, cóż pan porabia w Zakopanem? Długo pan jeszcze zabawi?

— Już nie długo, urlop mój się skończy... Chciałbym jeszcze zrobić wycieczkę — szukam tylko towarzystwa.

— Prawda, pan trzy tygodnie siedzi w Zakopanem, a w górach pan jeszcze nie był?

— A owszem, jużem był dwa razy w Kuźnicach i raz w Jaszczurówce. Ale teraz chcę pójść jeszcze dalej w góry. Namawiam panią Dally, żeby się wybrała wraz z panią Jutrzenkowską... To wesoła i szykowna kobieta, ta pani Dally!

— Pani Dally? Ta wdówka czy rozwódka warszawska? Panu się ona podoba? To także typ warszawski! Nie w moim guście!

Poeta się znowu zasępił.

Że też ten rejent zawsze mu musi wejść w drogę! I teraz znowu gotów mu przeszkadzać wobec pani Dally...

Rejent jednak nie miarkował niechęci poety; przeciwnie, zawarta zgoda czyniła go wylanym i serdecznym wobec Zarwańskiego.

— Wie pan co? przyłącz się pan do nas. Będzie dobrana kompania... Ja już wszystko urządzę, zamówię górala przewodnika... Pan, ja, pani Dally i Jutrzenkowska... zabawimy się wesoło, co?

Poeta chmurny nie okazywał wielkiego entuzyazmu wobec tej propozycyi.

— Kiedyż to się państwo wybieracie w góry i dokąd?

— Jeżeli pogoda dopisze, pojutrze. A dokąd, sam nie wiem; z panią Jutrzenkowską naradzę się jutro.

— Ha no, może się przyłączę.

Poeta spojrzał na zegarek.

— Co, już dwunasta? Czas na chwilę pójść pomieszkać. Dobranoc panu, kochany panie Erazmie!

Czule uścisnęli sobie dłonie pogodzeni rejent i poeta. Poeta wolnym krokiem podążył ku Chramcówkom.

Cisza zupełna panowała w zakładzie. Wszystko spało. Poeta szedł bez stuku przez ciemny korytarz, mijając dziesiątki drzwi, z za których dolatywało przyciszone chrapanie kuracyuszów i kuracyuszek dra Chramca, aż znalazł się w swoim małym pokoiku.

Długo szukał zapałek — i zdenerwował się wielce, zanim świecę zapalił.

W mdłem świetle pokoik wydał się smutnym i zimnym.

— Oto życie poety! — pomyślał z goryczą Zarwański. *Oh, la tristesse de tout cela!* Łóżko, stolik nocny, stołek, szafa i ten stolik i te ściany gołe — oto moja przystań... O świecie, jak ty nie umiesz uszanować swoich świetlanych duchów. Pierwszy lepszy mydlarz Kufke albo Małkowski ma swoją kamienicę i lokaja... A pani Kufkowa chodzi w brylantach. *Du hast Diamanten und Perlen...* O te kobiety!

Poeta spojrzał na zegarek. Na Milcię czekać dłużej nie warto było... poeta zrezygnował z nadziei powitania jej u siebie.

Dalszy ciąg nastąpi.

teln Saskiego p. W. Sz., któremu maszyna do korkowania flaszek, zmiażdżyła trzy palce lewej ręki. Po opatrzeniu p. Sz. wrócił do domu.

Wieczorem przyprowadził na pogotowie p. Rosenbach swego 8-letniego synka Józia, który idąc za namową jakichś niewczesnych żartownisiów, włożył sobie do ucha ziarnko fasoli, sądząc, że mu ono wyjdzie drugiem uchem. Chłopcu, uczuwającemu skutkiem tego wielki ból, fasolę wyjęto, poczem wrócił z ojcem do domu.

Morderstwo na Błoniach. We czwartek przesłuchiwano w dalszym ciągu cały szereg świadków, którzy po większej części zeznawali obciążająco dla obwinionych Rajzera i jego wspólniczki w morderstwie, Kaczorównej.

W piątek obrońca oskarżonych adw. dr. Gleitzman postawił szereg wniosków, do których trybunał przychylił się tylko częściowo. Następnie przystąpiono do odczytania sprawozdań lekarzy rzeczoznawców. Wyrok podamy jutro.

Nadużycia oprawcy. Mieszkańcy Podgórza skarżą się na wybryki swego oprawcy. Przed kilku dniami pomocnicy hycla opadli na Rynku chłopca, który prowadził psa na smyczy i zupełnie bez racyi chcieli mu psa odebrać. Dopiero na płacz chłopca za interwencyą publiczności zwrócono chłopcu psa. W piątek rano, kandydaci na oprawców zapędzili się za pokojowym pieskiem omal że nie do mieszkania, ale w sieni spotkał ich właśnie właściciel psa i zgromił zapamiętałych w swem rzemiośle hycików.

Skazany za uszkodzenie ciała w dniu 17 l. m. Franciszek Szczypczyk prosi nas o zaznaczenie, iż skazanym został na 2 miesiące aresztu, a nie jak skutkiem pomyłki drukarskiej podaliśmy na 2 miesiące więzienia.

Lwowski oszust. Onegdaj zjawił się w Krakowie znany policyjnym władzom lwowskim oszust, Jan Napiórkowski, który począł swe rzemiosło uprawiać i na bruku krakowskim. Za pomocnika w swem przedsiębiorstwie dobrał sobie młodego jeszcze i niedoświadczonego funkcyonaryusza jednej z krakowskich instytucyi F., z którym wytrawny oszust udał się do pewnego złotnika przy ul. Sławkowskiej. Tu przedstawiwszy się jako starszy oficyał rachunkowy w ministerstwie handlu, wyłudził na kredyt kosztowności za 400 kor., które natychmiast spieniężył. W chwili jednak, kiedy chciał zastawić uzyskaną w ten sposób od jednej z firm krakowskich maszynę do szycia, aresztowano go wraz ze wspólnikiem i odstawiono pod telegraf.

W nurtach Rudawy. We czwartek około godziny 8-mej wieczorem, stróż parku dra Jordana, spostrzegł w nurtach Rudawy borykającą się z prądem rzeki leciwą już kobietę. Pospieszył jej na ratunek i wyciągnął na brzeg. Zawezwane pogotowie ratunkowe po przywróceniu zemdlałej do przytomności odwiozło ją do zakładu Brata Alberta. Staruszka odmówiła wszelkich objaśnień, tyczących się jej osoby i samego wypadku.

Ciekawy epileptyk. Onegdaj o godzinie 9-tej wieczorem nieznany mężczyzna uległ w ulicy Siennej silnemu rzekomo atakowi epilepsyi. Na widok jednak spieszącego mu z pomocą pogotowia ratunkowego zerwał się na równe nogi i umknął.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.

Sobota: „Szkoła".
Niedziela: „Szkoła".
Poniedziałek: „Upiory".
Wtorek: „Szkoła".

Kompromisowy projekt reformy wyborczej posła dra Rutowskiego.

Wobec niemożliwości dojścia do porozumienia prawicy i lewicy sejmowej na podstawie dotychczasowych projektów konserwatywnych i klubu demokratycznego, przedstawił wczoraj p. Rutowski na subkomitecie komisyi wyborczej następujący projekt kompromisowy:

Sejm krajowy składa się:

I. z 14-tu członków z mocy piastowanej godności:

a) 8 biskupów i władyków,
b) 1 prezesa Akademii Umiejętn.,
c) 3 rektorów Uniw. i Politechn.,
d) 2 prezydentów Lwowa i Krakowa.

II. ze 108 posłów kuryi powszechnego głosowania (czteroprzymiotn.), w tem 74 okręgi powiatowe i 34 miejskie.

III. ze 108 posłów kuryi drugiej.

Kurya druga składa się z dwóch grup wyborczych, a mianowicie:

a) z 44 posłów, wybieranych przez większą własność ziemską, opłacającą najmniej 100 kor. podatku gruntowego;

b) z 64 posłów, wybieranych przez zawody naukowe, przemysł i handel — wybierających razem.

Uprawnionym w tej grupie:

1) każdy, kto posiada ukończone studya akademickie;

2) albo ukończoną szkołę średnią i opłaca jakikolwiek podatek bezpośredni;

3) trudni się przemysłem lub handlem i opłaca najmniej 20 k. podatku zarobkowego. (Pożądane zejście do 10 k.).

Uprawnieni do głosowania, oprócz w kuryi powszechnego głosowania, także w kuryi drugiej, mogą wykonywać swoje prawo tylko w jednej grupie tejże kuryi.

Wybory w kuryi powszechnego głosowania w okręgach miejskich i 32 powiatach są jednomandatowe (każdy okręg wybiera 1 posła, zaś 42 powiaty o mieszanej ludności stanowią 21 okręgów dwumandatowych wybierających po dwóch posłów) przy zabezpieczeniu mniejszości odmiennej od postanowień ustawy dla Rady państwa.

Aresztowanie porucznika Arnolda.

Obrazek z Indyj.

Jeżeli o co chodziło porucznikowi Arnoldowi, to oto, żeby zawsze wyglądać jak „oficer i dżentelman". Sztafirował się codziennie godzinami, utrzymując, że to czyni dla honoru armii, w której służy, ale znajomi powiadali sobie, że przez czysto osobistą próżność tak dba o swoją powierzchowność.

Zresztą nie było można nic zarzucić porucznikowi. Lubiono go powszechnie i nikomu nie przyszło na myśl, że tego eleganta, tak dbałego o reputacyę, przychwycą kiedyś żandarmi, jako dezertera i sprowadzą na dworzec kolejowy, okutego w kajdany. A jednak do tego doszło.

Kiedy mu się urlop skończył, zjeżdżał porucznik Arnold konno z Dalhousie. Przeciągał urlop aż do ostatniej chwili i musiał się spieszyć. — Wcale gorąco, pomimo wysokiego położenia, było tym razem w Dalhousie; wiedząc zaś, co go czeka na dole, wdział nowy garnitur *khaki*, bardzo obcisły, pięknego oliwkowego koloru, krawatkę założył seledynową w purpurowe rzuty, kołnierzyk nowiusienki i śnieżnej białości kaskiem *solah* nakrył głowę. Uważał sobie za punkt honoru wyglądać, jak zdjęty prosto z igły, nawet w samotnej podróży. Istotnie to mu się powiodło, ale tualeta tyle zabrała mu czasu, że zapomniał pieniędzy w hotelu i miał przy sobie tylko trochę drobnych. Służących z kuframi wysłał przodem do Pathankote, żeby tam mieć wszystko gotowe do przebrania i nie tracić niepotrzebnie czasu. Nazywał to „marszem w lekkim rynsztunku" i pysznił się ze swoich zdolności organizacyjnych.

Na 22 mile od Dalhousie zaczął padać deszcz — nie zwykły, górski, lecz prawdziwa ulewa. — Pył na drodze zamienił się w błoto i poney zaszargał się cokolwiek; tak samo sztylpy porucznika. Lecz Arnold nie przestawał cwałować, żałował tylko, że nie wziął z sobą parasola, ale pocieszała go myśl, że się powietrze ochłodzi.

Poney, wzięty z następnej stacyi pocztowej, objawiał dosyć uparte usposobienie i ponieważ Arnold miał ręce śliskie od wody i nie mógł go dobrze trzymać w cuglach, skorzystał z pierwszego ostrzejszego skrętu, żeby się pozbyć jeźdźca. Porucznik puścił się za nim w pogoń, dopędził go, dosiadł i jechał dalej. Koziołek w błocie nie oddziałał zbawiennie ani na jego ubranie, ani na humor; zgubił także przy tej sposobności jedną ostrogę. Tem zawzięciej za to posługiwał się drugą i zanim dojechał do następnej stacyi, spienił konia, a sam pomimo deszczu zlany był potem. Po upływie dalszej pół godziny zauważył porucznik, że świat w jego oczach rozmazuje w rodzaj kleistej, oślizłej galarety. Deszcz zmienił obszerny, śnieżysty *solah-topi* na cuchnącą papkę i czako wyrastało z głowy, jak grzyb na drzewie. Równocześnie zielona podszewka zaczęła puszczać i spływać po poruczniku na wszystkie strony, ze szczególnem upodobaniem po plecach i brzuchu. Ubranie *khaki* puściło także i niebawem Arnold pomalowany został w bronzowe płaty o fiołkowych plamach z żółtemi brzegami, w czerwone pręgi i białe centki. Kiedy na to wszystko spłynęła purpurowa struga z krawatki i spadł zielony deszcz z czaka, powstał istotnie efekt niebywały.

W pobliżu stacyi Dhar deszcz ustał, a zachodzące słońce osuszyło porucznika, utrwalając równocześnie na nim kolory. Trzy mile przed Pathancote ostatni poney okulał zupełnie i Arnold musiał maszerować piechotą. Pobiegł do miasta dla odszukania swoich służących. Nie wiedział wówczas, że jego kamerdyner zatrzymał się po drodze dla hulatyki i że dopiero nazajutrz przybędzie, tłómacząc się, że sobie wywichnął nogę w kostce.

Nie znalazł więc swojej służby Pathancote. Buty oblepione przyschniętem błotem, tworzyły na jego nogach rodzaj twardych nagolenników; niezgorzej także zababrał się cały i twarz miał zamorusaną. Krawatka, podobna przed kilku godzinami do wspaniałego pawiego ogona, rozlazła się teraz zupełnie, to też zerwał ją wraz z kołnierzem i odrzucił precz od siebie. Potem mruknął coś ogólnikowo o służących i wstąpił na kieliszek whiskey. Zapłacił ośm annasów i przekonał się przy tej okazyi, że wszystkiego i na wszystko pozostaje mu w kieszeni sześć sztuk monet tego samego stempla.

Poszedł na dworzec kolejowy, żeby się wystarać o bilet pierwszej klasy do Khasa, gdzie stał załogą. Zobaczywszy tak przystrojonego pasażera, kasyer szepnął coś do zawiadowcy stacyi, a ten do telegrafisty i wszyscy trzej poczęli mu się bacznie przypatrywać. Po naradzie poproszono go, żeby poczekał pół godziny, póki z Umritsar nie nadejdzie informacya na telegraficzne zapytanie. Czekał więc na wynik pertraktacyi, a tymczasem obstąpiło go w sposób niezmiernie malowniczy czterech kolorowych policyantów. Kiedy miał im właśnie zaproponować, żeby sobie poszli do dyabła, naczelnik stacyi oznajmił, że mu wyda bilet, byle tylko *sahib* raczył wstąpić do kancelaryi. Arnold wkroczył majestatycznie do biura, lecz w tej samej chwili czuł na każdem ramieniu i na każdej nodze z osobna ciężar jednego policyanta; szef zaś stacyi usiłował wsunąć mu na głowę torbę od listów.

Zakotłowało się w kancelaryi, a w trakcie walki oberwał porucznik brzydką szramę nad okiem, wskutek uderzenia o krawędź stołu. Długo się szamotał, lecz ostatecznie zwyciężyła liczba i policyanci, przy pomocy zawiadowcy, założyli mu na ręce kajdanki. Skoro torbę na listę zdjęto mu z głowy, począł im dosadnie wykładać, co myśli o ich postępku i dowódca oddziału policyjnego zakonkludował: Niema wątpliwości — to żołnierz, którego szukamy. Słuchajcie tylko, jak gada!

Wtedy Arnold zapytał naczelnika stacyi, co znaczy ten napad. „To znaczy" — odpowiedział urzędnik — „że prosty żołnierz, nazwiskiem John Binkle, z regimentu X, wzrostu pięciu stóp, dziewięć cali, oczy niebieskie, włosy i broda blond, wygląd hultaja, brak szczególnych oznak. Dezerter od dwóch tygodni — został przytrzymany i okuty w kajdanki, jak na to „zasłużył".

Arnold począł opowiadać całą sprawę, ale im więcej mówił, tem mniej mu wierzono. W końcu szef stacyi powiedział, że nigdy oficer nie wyglądałby na bandytę i że dostał rozkaz dostawienia go pod eskortą do Umritsar. Arnold miał liczne powody do złego humoru, więc nie możemy w żaden sposób zacytować jego odpowiedzi, nawet wyrzucając z niej drażliwsze ustępy. Czterej policyanci towarzyszyli mu, aż do Umritsar w wagonie *intermediate* (wagon do użytku krajowców) Czterech godzin podróży użył porucznik, nie roniąc ani minuty, na wymyślaniu swoim opiekunom od ostatnich słów, o ile tylko znajomość języka miejscowego na to mu pozwalała.

W Umritsar rzucono go jak jaki tłumok w ramiona kaprala i dwóch żołnierzy regimentu X.

Arnold wyprostował się, uśmiechnął, pewny, że się teraz wszystko wyjaśni i chciał całą sprawę obrócić w żart. Tymczasem sam wcale wesoło nie wyglądał: kajdanki na rękach, z tyłu czterech policyantów, zakrzepłe krople krwi na lewym policzku. Kapral także nie miał figlarnej miny. Kiedy Arnold zwrócił się do patrolu „protekcyonalnym tonem": „Stała się pomyłka, moi chłopcy, ale mniejsza o to", kapral poprosił go, żeby „stulił gębę" i szedł za nim. Porucznik zatrzymał się, żeby mu wytłumaczyć całą sprawę. Tłómaczył tak dobrze, że kapral przerwał mu okrzykiem:

— Ty oficer! To przez takich ludzi o żołnierzach źle gadają. Ładny oficer! Znam twój regiment, nazywa się: gałgański, a maszeruje kiedy mu nie każą...

Arnold opanował się i chciał spokojnie rzecz całą odpowiedzieć od początku. Wtedy wepchnięto go do stacyjnego bufetu, bo deszcz zaczął padać i kapral powiedział, żeby go nie brał za głupca. Zagroził mu przytem, że go każe przepuścić do fortu Govindghar „chyżym krokiem". Otóż przy „chyżym kroku" bardzo trudno zachować godność w ruchach...

Z zimna, kajdanków na rękach i bólu głowy, który mu sprawiała rana na czole, wpadł Arnold w szał i sadził się na wypowiedzenie wszystkiego, co mu na sercu leżało. Kiedy skończył, bo mu zaschło w gardle od krzyku — zauważył jeden z żołnierzy:

— Nie pierwszyzna mi słyszeć, jak ludzie przeklinają, ale dalibóg takich bluźnierstw i przekleństw jeszczem w życiu nie słyszał.

Nie pogniewali się na niego. Podziwiali go raczej. Zaimponował im. Przynieśli mu nawet kufel piwa, „bo klął, jak wiarus". Poprosili go potem, żeby im opowiedział wszystko, co słyszał o ucieczce żołnierza Johna Binkle i pytali, jak mu się też powodzi na wolności. Arnold rozsierdził się jeszcze bardziej. Gdyby posiadał krew zimną, czekałby spokojnie, aż się zjawi jaki znajomy oficer, ale, niestety, spróbował uciekać.

Otóż kolba karabinu Martiniego, kiedy spadnie komu na plecy, nie przynosi ulgi ani fizycznym, ani moralnym cierpieniom, a garnitur „khaki", przemokły i nadgniły prawie, łatwo pęka, skoro dwóch ludzi szarpnie nim na wszystkie strony. Arnold wstał rozbity i oszołomiony z podłogi, a koszula rozpruła się na nim od góry do dołu. — Wtem dał się słyszeć świst lokomotywy i zajechał pociąg z Lahore, z którego wysiadł na peron major z pułku naszego bohatera.

Oto, jak brzmiała opowieść majora w spotkaniu z porucznikiem Arnoldem:

— Odgłos zajadłej kłótni, pochodzący z bufetu drugiej klasy, obił się o moje uszy. Zajrzałem tam więc, żeby zobaczyć, co się dzieje i wzrok mój padł na najwstrętniejszego oberwańca, jakiego kiedykolwiek w życiu widziałem. Buty i spodnie pokryte grubą warstwą błota i zlane piwem. Z głowy zwisała mu na szyję i ramiona szara, brudna szmata, cała postrzępiona. Twarzy nie były mu widać, bo zasłaniała ją koszula, rozdarta aż pod ramiona, tylko z pod niej dobywał się gniewny głos, wołający, żeby popatrzono na znaki, wyhaftowane z boku. Zdawało mi się, że to człowiek w ataku *delirium tremens* tak przeklinał i miotał się na wszystkie strony. Dopiero kiedy koszula powróciła na normalne stanowisko, zdołałem z pod guza na czole, wielkości bułki i z pod zielonych pręg na twarzy, odcyfrować oblicze porucznika Arnolda. Bardzo się ucieszył na mój widok i prosił mnie, żebym w Kasynie nie rozpowiadał o tej przygodzie. Nie mówiłem dotąd nic, ale teraz, kiedy Arnold wrócił do kraju, pozwalam sobie na tę przyjemność.

Większą część lata użył porucznik na starania, żeby kaprala i dwóch żołnierzy, którzy, oczywiście, bardzo ubolewali nad swoją pomyłką, oddane pod sąd wojenny za to, że aresztowali „oficera i dżentelmana".

Wieść o przygodzie porucznika przeniknęła do koszar, a stamtąd obiegła całą okolicę.

Wrzący smalec wlewa dziecku do ust.

Przed sądem przysięgłych we Lwowie rozegrał się epilog morderstwa, jakiego drugiego co do swej potworności nie zna może kryminalistyka. Stanęła przed sądem macocha, która z obawy, aby jej 6-letnia pasierbica nie zajęła kiedyś jej stanowiska jako gospodyni domu, morduje ją w straszny sposób, nalewając śpiącemu dziecku wrzącego smalcu do ust. Motywu tej strasznej zbrodni należałoby może szukać po części w przestarzałych, a tolerowanych niestety przepisach rytualnych, gdzie mąż może rytualną żonę każdej chwili napędzić, nie troszcząc się o jej utrzymanie. A taką właśnie rytualną żoną była oskarżona Eidle Dobrysz. recte Spritzer, false Lacher. Obwiniona, jako 37-letnia wdowa, matka dwojga dzieci, zaślubiła w r. 1905 rytualnie kupca z Żółtaniec Mojżesza Lachera, również wdowca i ojca 12-letniego Zisia i 6-letniej Ryfki. Lacher, chcąc zapewne uniknąć niesnasek, wynikających często między dziećmi z różnego małżeństwa, wymusił na Eidli, że swoich dzieci nie wprowadzi do jego domu.

Uległa woli męża, oddała Eidla swe dzieci do rzemiosła we Lwowie, czując z tego powodu, jak twierdzi akt oskarżenia, żal do dzieci Mojżesza, że przez nie musiała pozbyć się własnych dzieci. Żal ten objawiała w złem traktowaniu pasierbów.

To też dzieci nieraz skarżyły się przed ojcem na macochę, na co on, chcąc je pocieszyć, zapewniał dzieci, że wypędzi macochę jak Ryfka podrośnie i będzie mogła sama prowadzić gospodarstwo. Słowa te, powtarzane często, słyszała nieraz obwiniona, to też zaczęła upatrywać w 6-letniej Ryfce swą następczynię. Nareszcie powzięła zamiar pozbycia się rywalki.

W dniu 4-go lipca br. wykonała swój straszny plan. Oto zagotowawszy w garnuszku świński smalec, nalała wrzątku tego śpiącemu dziecku do ust, powodując jego natychmiastową śmierć. Wrzątek ten rozlał się na twarz, szyję i piersi dziecka, raniąc je w straszny sposób.

Świadkowie zeznali, że Eidla przedtem dobrze się z dzieckiem obchodziła.

Ponieważ znawcy orzekli, że nie jest pewnem, że dziecko zostało sparzone smalcem, a świadkowie nie dowiedli winy Eidli, sędziowie zaprzeczyli pytanie w kierunku morderstwa, a potwierdzili pytanie dodatkowe w kierunku braku należytego dozoru nad dzieckiem. Wobec tego zasądził trybunał Eidlę na jeden miesiąc aresztu.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Troskliwy Janek.

— Czy wujcia boli kiedy brzuch?
— O, bardzo często.
— To musi wujaszka okrutnie boleć?
— Dlaczego?
— Bo taki duży...

NADESŁANE.

za które Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

KTO

poszukuje posady lub chce kogo zatrudnić, kupić coś lub sprzedać, albo wydzierżawić, powinien ogłosić to w drobnych ogłoszeniach **„Nowin"**. Jedno słowo kosztuje **4 h.**, pierwsze liczy się **potrójnie**; najtańsze ogłoszenie kosztuje **50 hal.** Należytość przesyłać można w markach poczt.

Wydawca: Lucyna Szczepańska. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Szczepański. W. Druk Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie.